

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 22 Listopada / 4 Grudnia 1867 roku.

Nr 49. { Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. } Rok III.

Od Redakcji.

Trzy lata upływa, jak powodowani chęcią niesienia oświaty klassom mniej zamożnym, rozpoczęliśmy wydawnictwo **Opiekuna Domowego.** *Chcieliśmy przez to przyjść w pomoc, przy jak najtańszej cenie pisma tym, którzy żądni wiedzy i pożytecznych wiamości, nie są w stanie prenumerować innych choć pięknych lecz może za drogich illustracij krajowych. Jakzaś swoje zadanie wypełnialiśmy, sąd nie do nas należy. Możemy tylko nadmienić, iż łamiąc się z wielu przeciwnościami, nie mamy zamiaru ustać w połowie rozpoczętej pracy.—Nie uskarżamy się nawet na obojętność czytelników, mamy ich dosyć, aby pokryć koszta wydawnictwa.*

Przy licznem współpracownictwie mężów nauki i pracy, staraliśmy się zawsze w piśmie naszem podawać przykłady dobrych i zacnych obyczajów, które są gruntem i podstawą domowego szczęścia. Przytaczaliśmy na pożytek czytelników naszych życiorysy ludzi znakomitych, oswajaliśmy ich z naukami przyrodzonemi, z różnemi godnemi widzenia miejscowościami, zachęcaliśmy do pracy i oszczędności, kształciliśmy serca i uczucia, przez zamieszczanie powieści i poezji. Jeżeli zaś jeszcze niedosyć zadanie przedsięwzięte wypełniliśmy, wyznać musimy że to wina nie nasza, ale tych, którzy obojętnie nas traktują;—przecież tuszymy sobie, że przy cierpliwości a wytrwałości i tę niemałą przeszkodę zwalczyć nakoniec potrafimy. Z dniem 1-ym Stycznia roku przyszłego, rozpocznie się czwarty rok istnienia **Opiekuna Domowego,** *a jeśli tylko w Czytelnikach znajdziemy pamoc, zachętę i szczersze uznanie usiłowań naszych, wtedy nie omieszkamy w nim zaprowadzać coraz to nowych i pożyteczniejszych ulepszeń, aby z czasem mógł zastąpić niezbędną książkę naszych rodzin i familij.*

Więc kogo obchodzi gorąco szczęście i dobrobyt domowy, kto szczerze pragnie czegoś pożytecznego się dowiedzieć, komu miłą jest oświata i zacna w czytaniu po pracy rozrywka w naszych lepiankach, chatach, dworkach, poddaszach i warsztatach—tego do współpracownictwa dalszego zapraszamy— temu obojętne pismo niniejsze być w żaden sposób nie może.



Leon Kunicki.

Po ukończeniu powieści: **Samobójca,** *drukować będziemy w Opiekunie Domowym następujące celniejsze powieści: 1)* Jana Zacharjaszewicza *pod tyt:* **Kukułka;** *2)* Adama Pługa, *osnutą na tle życia mieszczańskiego; 3) zapowiedziane powieści* Autora Kłopotów Starego Komendanta*; 4) nigdzie jeszcze niedrukowaną, z pośmiertnych rękopismów powieść ś. p.* Józefa Dzierzkowskiego *i piękną powiastkę:* **Sierota,** *napisaną przez* Marję Popławską.

Do 1-go Numeru **Opiekuna Domowego** *z 1868 roku, dołączonym zostanie bezpłatnie dla wszystkich Czytelników ścienny* **„Kalendarz illustrowany"** *na rok* **1868.**

Cena Opiekuna Domowego *pozostaje taż sama, to jest 20 kop. (40 gro.)* na miesiąc *w Warszawie, a kop. 75 (złp. 5)* kwartalnie *na pocztach w Królestwie Polskiem.*

☞ *Prenumeratorów z prowincji, upraszamy o wczesne zapisywanie się na właściwych stacjach pocztowych, lub o nadsyłanie pieniędzy prenumeracyjnych wprost pod adresem Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715*

LEON KUNICKI.

Podług powszechnie przyjętej zasady, piszą się tylko życiorysy ludzi zmarłych. Tym razem wszak-

że, wspomnienie o Leonie Kunickim znanym powieściopisarzu, stanowić będzie wyjątek, ile że Kunicki należy do pisarzy, których utwory „Opiekun Domowy” śmiało czytelnikom swoim polecić może.

Urodził się 21 Czerwca 1828 roku we wsi Siedliszczu nad Bugiem, w Siedleckiej gubernii, z ojca Marka i matki Wiktorji ze Swieszewskich, obywateli ziemskich. Początkowe nauki odbierał w domu rodzicielskim, poczem oddany do Warszawy, ukończył tu szkoły w byłem Gimnazjum Realnem.

Od dzieciństwa już okazywał wielką zdolność do nauk, a szczególnie do zawodu powieściopisarskiego, w którym się następnie tak chlubnie odznaczył.

Zdolność tę rozwinął w nim i wykształcił, znany zaszczytnie w literaturze naszej Kazimierz Władysław Wójcicki, który udzielał mu lekcji literatury polskiej.

Kunicki napisał kilka większych powiastek i bardzo wiele luźnych artykułów, rozsypanych po rozmaitych czasopismach warszawskich. Widownią wszystkich jego powieści, obrazków i zarysów, jest Nadbuże, które pisarz ten tak dokładnie i wyczerpująco scharakteryzował, że zdaje się, iż nikt już po nim nic nowego o tej części kraju powiedziećby niemógł. Osoby zaś które w tych utworach wprowadza, lubo nieraz się powtarzają, nie nudzą przecież czytelnika, owszem wzbudzają w nim pewną sympatją tak, że spotykając ich drugi i trzeci raz, witamy ich niby staroznajomych. Bo cóżto za postacie, takiego np. proboszcza i diaka unickiego! jak doskonale odmalowani ci poczciwi rezydenci, te stare panny respektowe, te wiejskie niewinne i skromne jak fijołek dziewoje, ci wreszcie z marsem na czole a prawdą na ustach starzy słudzy!

Wieleby się zawiódł ktoby szukał zawiłych intryg, romansowych wyścigów z przeszkodami w powieściach Kunickiego—niemasz w nich nic podobnego! Są to skromniuchne szkice niedawno ubiegłej przeszłości napisane z werwą, życiem, a co podług nas najważniejsza, z wielką miłością. Próżnobyśmy tu szukali czarnych charakterów, zatwardziałych zbrodniarzy, lub nawet zbyt skarykaturowanych postaci; wszędy powiewa łagodna słodycz i prostota opowiadania. Nie brak tu jednak prawdziwie komicznych figur; do takich zaliczamy owych dandysów prowincjonalnych, jak np. *Orzeszkowicz* w „Krajowych Obrazach”, tak zwany *Major* w „Ustroniu rodzinnem”, albo pan *Antoni Sacharowicz* w „Iwanku”. Wybornie też scharakteryzowani starzy słudzy, których niestety! napróżnobyśmy dziś szukali. Jeden z nich np. strofuje swego pana, że zapomniał odmówić pacierza udając się na spoczynek; drugi radzi za kogo panienkę wydać; inny z własnego popędu idzie do nieubłaganej piękności i błaga ją na kolanach, by nie odmawiała paniczowi swej ręki; ten znowu tak zapamiętale zajmuje się weterynarją empiryczną, że zasłyszawszy o chorem bydlęciu, gotów pójść za niem na koniec świata; albo lepszy jeszcze od niego zwolennik golenia darmo cudzych bród, który nigdzie się nie obróci bez brzytwy i paska do ostrzenia.

Z oddzielnych utworów Kunickiego wymienimy:

1) *Dwór i dworki*, szkic do powieści. Warszawa 1851. Jestto jego najpierwszy większy utwor, któremu nie można odmówić talentu; doskonale tu scharakteryzowany kapitan—rezydent.

2) *Krajowe obrazki i zarysy.* Wilno r. 1854. Z ośmiu szkiców w tomiku tym zawartych, odznacza się przewyborny obrazek: „Djak”, i rzewny obrazek ludowy „Daniłko Flis“.

3) *Nadbużne obrazy i powieści.* Warszawa r. 1857. Trzy tomy. Za najlepsze powiastki w dziełku tem uważamy: „Poczciwa szlachta“, gdzie doskonale odmalowaną jest dumna a goła arystokracja: „Ustronie rodzinne“ i „Feniks okolicy.”

4) *Iwanko* (powieść ludowa.) Warszawa 1860. Podług naszego zdania, jest to najlepszy utwor Kunickiego, jakkolwiek główne postacie tej powieści wzięte zostały z obrazka „Djak”, o którym jużeśmy wspomnieli.

Kunicki wespół z J. K. Gregorowiczem, Redaktorem Przyjaciela Dzieci, brał udział w wydawnictwie *Książek obrazkowych* dla ludu, które w swoim czasie powszechne zyskały uznanie.

Oprócz prac literackich, oddawał się i oddaje ciągle z zamiłowaniem studjom rysunkowym, z których wiele ukazało się po różnych pismach illustrowanych warszawskich, że wymienim tu tylko ważniejsze: *Historja Jedynaka* w Tygodniku Illustrowanym i *Typy Nadbużne* w Kłosach; Opiekun Domowy także parę jego szkiców zamieścił.

Mścisław Kamiński.

ZAPŁATA NIEBIESKA.

PIEŚŃ Z LEGENDY.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 48).

Widział i kozłów z przestrachem,
Które przybiegły dość rączo:
Słysząc że walki nie skończą,
Oba z tak strasznym zamachem
Grzmotnęły w twarde swe czoła,
Jak gdyby chciały na druzgi
Strzaskać ciemiona i mózgi.
— Lecz przyszedł także do sioła,
Gdzie tam pod dębem, pamięta,
Z jabłkiem igrały dziewczęta,
I gdzie jak myślał, zastanie
Odpowiedź na ich pytanie.
Łąka się roi, gwar, śpiewy,
Ludu jak nabił w zabawie;
Pod dębem chłopcy i dziewy
Po ślicznej tańczą murawie.
Gdy starsi gościa spostrzegli,
Zaraz ku niemu pobiegli
I tam gdzie idą popisy
Przy pełnym dzbanie i misy—
Sadzają. Wkrótce i z młodzi
Gromadka piękna przychodzi.
Najpierwsza w niej jasnowłosa
Znana starcowi dzieweczka
Idzie z młodzieńcem, z ukosa
Spogląda już z pod czepeczka,
Który na jej to weselu
Dostała z piosnką o chmielu
I kłoni lica świeżuchne;
A czarnobrewa za druchnę,
Lekka i żywa jak muszka.
I wdzięczne jeszcze są obie,
Lecz w innym jakoś sposobie
I ani śladu jabłuszka;
Bo też i druchna w dni parę
Zmieni jabłuszko na wiarę.
Otóż odpowiedź bez biedy,
Bo wiedzą panny już kiedy
Skończą w jabłuszku zabawę

I nie pytają ciekawe.
Więc też starcowi i błogo,
Czule się żegna z wszystkiemi
I z łzami rzecze przed drogą:
„Kwitnijcież kwiaty mej ziemi!..”

XVII.

Dobił się wreszcie ustroni,
Gdzie miał swój cały majątek:
Chatę i pusty w niej kątek;
Lecz próżno okiem ją goni.
Przyszedł na miejsce znajome
Gdzie grusza stara szeleści,
Lecz wiatr tam tylko niósł słomę...
Ręce załamał w boleści:
„Gdzież głowę starą powlekę,
Gdzie znajdę dla się opiekę?
O wielki Boże, o Panie,
Gdzież znajdę dla mnie mieszkanie!”
Jeszcze nie skończył... gdy z boku
Przez znaną łąkę, przez pole,
W chyżym jak wicher poskoku
Jak cztery skrzydła sokole,
Cztery rumaki wszerz rzędem
Szalonym szumią rozpędem,
A maści niby śnieg białej;
Nogi ich świszczą jak strzały,
Ziemi nie dotkną kopyta.
Za niemi bryka zakryta
Sunie jak obłok lub fala —
Stanęła naprost kowala,
A z wnętrza głos się odzywa:
„Ach przeciem dzisiaj szczęśliwa!
Kowalu, jakże już długo
Serdeczną gardzisz usługą,
Tylem już świata zjeździła
I cztery konie zmęczyła,
Tylko dla ciebie jedynie:
Wszak już po twojej godzinie...”
Na to się kowal zapyta:
„Któż ty więc jesteś ukryta,
Coś mnie szukała daremnie
I czego żądasz odemnie?”
— „Ja jestem ta, co ból koi
I zawsze czujna na straży,
Nikt mi się oprzeć nie waży
A zły się chowa i boi.
Jeżdżę po drogach żywota,
Zna mnie i zbrodnia i cnota;
Nikt w mym przewozie nie ginie,
Tylko mieszkanie odmienia,
Nie swoje pełnię zlecenia,
Ja jestem—ta co nie minie...”
„Jestem więc gotów do drogi!” —
Zawołał kowal bez trwogi
I ręce podniósł ku Niebu.
Wóz otwarł, zwarł się... rumaki
W dal go uniosły jak ptaki,
I nikt nie widział pogrzebu.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(*Dalszy ciąg.*—Patrz Nr. 48).

VIII

Nazajutrz rano oczekiwała Mrożka nowa niespodzianka.

Odebrał list od stryja, treści takiej jakiej wcale przewidzieć nie mógł. Spodziewał się uwag ojcowskich o nowem swojem powołaniu, jakich wyrzutów za przeszłość, może jakich obietnic na przyszłość, ale po tem co stryj Jana Świta mu napisał, aż z początku żałować zaczął, że list ów do niego posyłał.

Stryj niewiele pisał o przeszłości, zamiarach i postanowieniach Jana. Słowa jego tchnęły życzliwością i miłością. Jeżeli miał do synowca jaką urazę za jego przeszłość, to o niej zapomniał widocznie. Cała ta część listu niezmiernie się spodobała Mrożkowi, ale koniec jak piorunem w niego uderzył. Stary Świt zawiadomił że podupadł na zdrowiu, nie to jednakże, jak się łatwo domyśleć tak przeraziło Mrożka, lecz dalsze słowa w których pisał:

....„Doktorzy radzą mi się leczyć górskiem powietrzem i żętycą. Dlatego wybieram się w Karpaty, nie do wód jednak pojadę tylko wprost do ciebie do Skalic. Za tydzień będę na miejscu, spodziewam się że mnie przyjmiesz z ochotą i na kilka tygodni dasz gościnność, która zresztą nietylko nic cię kosztować nie będzie, ale nawet może ci korzyść przynieść. Jeżeliś sobie upodobał tamte strony, to ci kupię jaką wieś górską i niebędziesz potrzebował ciężko pracując czekać, aż ci się po mej śmierci reszta mego mienia dostanie....”

— Zginąłem! — myślał Mrożek odczytując kilkakrotnie te wyrazy, — dwóch jest ludzi, którzy wiedzą o mnie za wiele: Dawid i Antek, ale i ci nawet są pewni, że jestem Janem Świtem... teraz spada mi na kark trzeci... jedyny, któremu mimo wszystkich dowodów moich ludzie uwierzą, jeśli mnie nazwie samozwańcem i który w żadnym razie inaczej mnie nazwać nie może... Zginąłem!...

Chwycił się obiema rękami za głowę, jakby chciał gwałtem w niej zatrzymać rozpraszające się myśli.

— Przepadłem!... nie ma ratunku!...

Przez kwandrans może nie mógł przyjść do siebie i nietylko na nic się zdecydować, ale nawet wpaść na myśl, że na cośkolwiek zdecydować się było można. Po upływie tego czasu dopiero ochłonął: przypomniał sobie, że przy każdej nastręczającej się trudności miał sobie zadawać pytanie:

— Coby w tym razie Dawid począł?...

Zagadnął się w ten sposób i to go uspokoiło cokolwiek.

— Dawid powiedziałby najniezawodniej: „na wszystko jest rada” — rzekł do siebie nareszcie, — i miałby słuszność. Nie ma takiej trudności z którejby przy rozumie wybrnąć nie można było, zwłaszcza kiedy się ma tydzień czasu przed sobą—więc i na tę trudność można poradzić.

Jak tylko uwierzył w możność ratunku, projekta nasuwać mu się poczęły.

— Ot, możnaby napisać do stryja i odradzić mu tę podróż.... Pytanie czyby Dawid tak zrobił... Nie, chyba nie!... stryj gotów nie posłuchać rady; staremu idzie oprzedłużenie życia, doktorzy radzą żętycę, jak ma słuchać synowca który radzi się nie leczyć?.. Choćbym go chciał zastraszyć że tu panuje jaka morowa zaraza, to i tak by nie uwierzył, bo przecież gazety czyta... Nie, Dawid by tak nie zrobił, albo byłby bardzo głupi gdyby czego innego nie wymyślił.

Zadumał się znowu przez chwilę.

— Możnaby donieść stryjowi, że odmieniłem zamiar i wyjeżdżam za granicę, a potem albo tu siedzić cicho i nie pisać do niego ani słowa, dopóki nie skończy swej kuracji i do domu nie wróci, albo

też pojechać naprawdę. Tylko, że jedno z tego dwojga niepewne, a i drugie djabła warte. Piszę naprzykład, że wyjeżdżam a siedzę tutaj... no, to któż mi zaręczy, że stryjaszkowi nie przyjdzie ochota odwiedzić okolicy w której mieszkam, albo że się jakimś sposobem nie dowie, że jestem w domu i na pewniaka nie przyjedzie do mnie w gościnę. A w każdym razie, czy pojadę czy zostanę, mogę go tak dalece obrazić na siebie, że mnie gotów wydziedziczyć zupełnie jako skończonego warjata, bo też w istocie chyba warjat synowiec uciekałby za granicę przed stryjem, który mu chcę kupić wieś... Jan Świt prawda był trochę warjatem i byłoby to zgodne z jego charakterem, ale odkąd ma inną skórę i kości, warjatem być nie powinien; jeżeliby Dawid tak zrobił, to byłby głupi.

Przychodziło mu jeszcze na myśl, żeby stryja jak tylko przyjedzie wskazać Jankowi jako kochanka Halki i podniecić żeby go zabił, po chwilowym jednak namyśle uznał ten projekt za kolosalnie niedorzeczny.

— Dawidowi na myśl by to nie przyszło — myślał, — chłopak widział przecież, że dziewczyna rozmawiała z takim chłopem jak on, nie z żadnym panem, a przytem gdyby go nawet złudzić było można, zginąłbym gdyby nóż zaklęty nie spisał się jak potrzeba.

Przez cały ten dzień w szkole Mrożek był nadzwyczaj roztargniony. Niektórzy z jego uczniów uroili sobie że dwa a dwa jest pięć, bakałarz nie myślał protestować przeciwko temu w imieniu arytmetyki; innym znów się przywidziało, że przykazań boskich jest siedemnaście a grzechów głównych tylko cztery, on je za to chwalił i głaskał.

Ułatwiwszy się w ten sposób ze swą obowiązkową czynnością, zamknął się i zaczął rozważać wszystkie sposoby uniknięcia grożącego mu nieszczęścia.

Najbardziej go uderzył pewien plan, do którego zrazu najmniejszą przywiązywał wagę.

— Gdyby mi się udało sprzątnąć stryjaszka tak, żeby się nikt nie mógł domyślić żem to ja zrobił— mówił do siebie.

Zrazu pamiętny rad Dawida, odepchnął tę myśl. Chciał wynaleść coś praktyczniejszego, coś mniej ryzykownego, ale wszystko co mu przychodziło do głowy, było albo niewykonalnem albo łatwo zdradzić go mogło.

Po odrzuceniu każdego nowego planu, mimowolnie powracał do myśli, która zdawała się nieść za sobą wszystkie korzyści.

Dużo sobie głowy nałamał, nim się na nią zdecydował nareszcie.

— Dawid mówił, że nie trzeba sobie walać rąk... ba! ale czyż to koniecznie trzeba walać ręce?... Czyżby się nie dało zrobić inaczéj?...

Znowu myślał, obrachowywał, projektował; mrucząc do siebie niezrozumiałemi wyrazami, obchodził całe szkolne domostwo, oglądał drzwi, okna, zamki, rygle, wyszedł przed dom i opatrywał go z każdej strony, poszedł nawet na strych i tam patrzył.

Oglądając mówił do siebie:

— Możeby to było i niezłe.... tutaj trzeba by dodać zasuwkę, to okno opatrzyć... te drzwi bym podparł... na strych nakładło by się... o już wiem czego... doprawdy, to lepsze niż myślałem... to może ze wszystkiego najlepsze.

Skończywszy ten tajemniczy przegląd, wrócił do swojej izby sypialnej, stanął na środku i zadał sobie ostateczne, stanowcze pytanie:

— Niema czasu do stracenia... muszę się zdecydować na jedno... zrobić tak czy nie zrobić?...

Chwilę jeszcze pomyślał nim wyrzekł słowo.

— Zrobić — rzekł nareszcie, — stało się... kość rzucona..! nie może się nie udać, a choćby się nie udało, wydać się nie może... Plan obmyśliłem wybornie... wszystkom przewidział, na wszystkom przygotowany... Za tydzień przyjedzie stary Świt, za tydzień także zjawi się Dawid; Janka Gąsienicę przez tydzień wstrzymać będzie potrzeba... no, z tem niebędzie wielkich trudności... Za tydzień tedy zagram dramacik pod tytułem: Okropna noc w Skalicach... Dawid by mi przyklasnął, gdyby nie to, że nie będzie widzem ale jednym z aktorów ginących na scenie...

Zatarł ręce i uśmiechnął się:

— Nie byłbym wart złamanego szeląga, gdyby mi się udać nie miało... Wszystko co ma stary będzie moje... i nie będzie już na świecie nikogo, ktoby wiedział com zrobił żeby zostać Janem Świtem, —nikogo, komuby uwierzono gdyby powiedział, że nim nie jestem.

Uradowany swym pomysłem zabrał się do jedzenia, od rana bowiem w kłopocie nie mógł nawet pomyśleć o jadle.

Nagle widelec który niósł do ust, wypadł mu z ręki.

— Ba! — zawołał — to mi właśnie na myśl nieprzyszło. Jeśli stary przyjedzie w nocy, wszystko pójdzie doskonale; lecz jeżeli przyjedzie w dzień, to cały plan djabli wzięli. — I dla czego nawet miałby przyjeżdżać w nocy? — tak mu się tu przecież strasznie nie śpieszy... nie ma najmniejszej wątpliwości, że w dzień przyjedzie. Cały mój pomysł na nic... miałem nad czem łamać sobie głowę i tyle czasu marnować!

Ruina całej budowy powziętego zamiaru tak zabolała Mrożka, że myślał przez chwilę iż zasłabnie; napił się jednak wody i przyszedł do siebie.

Niezmiernie żal mu było rozstawać się z projektem który powziął, i choć już stracił wiarę w jego wykonalności, jeszcze mimowoli rozważał go i myślał o nim.

Po niejakim czasie takiego namysłu, niby natchnienie rozjaśniło jego oczy.

— Na wszystko jest rada — zawołał, — Dawid miał słuszność... i na to mam już sposób... czy stryj przyjedzie w dzień czy w nocy, sztuka się uda!...

Niepodobna byłoby opisać tego wyrazu szatańskiej radości, z jakim Jan Świt mniemany wymówił te słowa.

Od tej chwili zajął się cały przygotowywaniem okropnej nocy, nieprzestając jednak korzystać z czasu, ażeby podtrzymywać zdobytą już opinją poczciwego i pobożnego człowieka.

Gdyby kto mógł być świadkiem wszystkich jego czynności i przeniknąć tajemnicę jaką je otaczał, ilekroć miały coś niezwyczajnego w sobie i gdyby nie wiedział do czego każdy krok jego zmierza, wziąłby go chyba za cierpiącego lekkie pomięszanie zmysłów.

Przedewszystkiem pozaprowadzał u siebie w domu różne zmiany i porządki, o jakich przedtem nigdy tam nie pomyślano i których wcale czuć się nie dawała potrzeba.

Zaprowadzanie zamków i opatrywanie drzwi i okien było czynnością, z której nie robił żadnej

tajemnicy; owszem starał się rozgłosić po wsi, że do niego przyjedzie stryj człowiek bardzo bogaty, bojąc się więc żeby go nie okradziono, musi dom najstaranniej opatrzyć we wszystko coby przeciw kradzieży bronić go mogło.

Oprócz tego, jednakże zaopatrywał się ukradkiem w rozmaite materjały, bynajmniej z jego stanowiskiem nauczycielskiem ani z przybyciem stryja nie mające związku, a nawet do przechowywania w domu zwłaszcza pod strychem, niebardzo bezpieczne, —tę część swych przygotowań starał się osłaniać najgłębszą tajemnicą.

Nie poprzestając na liście wysłanym przez Antka, napisał do Dawida powtórnie, w wyrazach nieco niby jaśniejszych niż w pierwszym liście lecz zawsze tajemniczych, dając mu do zrozumienia, że jest gruby interes do zrobienia i wzywając żeby przybył do Skalic wprost do niego, nietylko na dzień oznaczony ale nawet na wskazaną dosyć późną wieczorną godzinę.

— Ten się nie spóźni ani nie pośpieszy, bo to rozumny człowiek, — mówił do siebie, uśmiechając się szyderczo.

Janka Gąsienicę łudził rozmaitemi historjami o jego kochance i rywalu; to w nim budził nadzieję, to ją odbierał, to podniecał zawziętość przeciw Antkowi, to uspokajał; grał z uczuciami biednego chłopca, jak biegły artysta co z dobrze znajomego sobie instrumentu jakie chce dźwięki wydobywa. Na młodego górala ta walka sprzecznych uczuć na jakie go naprowadzał oddziaływała tak fatalnie, że aż to w Mrożku budziło chwilowo obawę, żeby struny serca któremi poruszał nie pękły nazbyt naprężone, wprzód niż je zerwać będzie potrzebował. Chłopiec bladł i mizerniał jeszcze bardziej, oczy mu się świeciły suchotniczo, umysł słabł i błąkał się niekiedy.

Mrożek bał się o niego, lecz się pocieszał krótkością czasu, jaki go od okropnej nocy oddzielał.

— Kilka dni jeszcze... wytrzyma... A zrobiłby mi figla nielada, gdyby przed czasem rzucił się na Antka i pchnął go w piersi, albo gdyby zachorował i nie mógł się ruszyć gdy będzie trzeba, albo gdyby zwarjował ostatecznie jak się na to bardzo zanosi.

Widać ztąd, że choć z początku Mrożkowi było wszystko jedno kiedy popchnie Janka przeciw Antkowi a nawet sądził, że im prędzej się z nim uwinie tym lepiej, teraz jednakże było potrzeba czekać na załatwienie wszystkiego razem i przedwczesna katastrofa niebyłaby mu na rękę. Janek miał także rolę do odegrania w dramacie okropnej nocy.

Aby zapobiedz zbyt szybkiemu rozwojowi choroby moralnej, którą podniecał w Janku dla wykonania swoich planów, Mrożek wzmacniał go fizycznie dając mu jeść jak mógł najwięcej i najlepiej, ale ta allopatja niebardzo skutkowała na pacjencie. Nieraz łzy biedakowi spływały do jadła i rękawem sukmany częściej sobie oczy musiał ocierać niż usta.

Antka Mrożek unikał, nie zaniedbał przecież poznać drogę do jego mieszkania, ażeby w razie potrzeby mógł ją dobrze opowiedzieć Jankowi. Starał się także wymiarkować godziny, w których Antek widywał się z Halką i o to niebyło mu trudno, gdyż na to potrzebował tylko obeznać się cokolwiek ze zwyczajami wiejskiemi, w których wszystko reguluje się do słońca i ma swoją godzinę, nie tylko praca, jadło lub zabawa, lecz nawet zaloty i miłość.

Wszystkie te jawne i tajemnicze zabiegi były powodem, że bakałarz pędził życie daleko ruchliwsze niż poprzednio. Częściej widywano go na wsi, częściej też była sposobność widzieć go przyklękającego nabożnie przed drzwiami kościoła i przed każdym krzyżem, koło którego wypadła mu droga. Zwykle choć nie szedł na modlitwę, dźwigał pod pachą grubą księgę do nabożeństwa, a na ręku albo u pasa ogromny różaniec. Słowem robił wszystko co tylko mogło go otoczyć jakąś atmosferą świętości, a gdy spotykający go górale zdejmowali przed nim kapelusze, on z pokory chrześciańskiej czapką oddawał ukłon jeszcze niższy i nie minął żadnego, żeby z nim kilku słów namaszczonych nabożeństwem nie zamienić.

Prócz tego używał jeszcze innych manewrów, które mu się udawały dość często, chociaż nie zawsze starał się o oryginalność i niekiedy też same powtarzał po kilka razy.

Tak naprzykład kiedy szedł drogą i z ukradka zobaczył że ktoś za nim idzie, upuszczał zgrabnie woreczek z pieniędzmi. Zdarzało się, że idący z tyłu wołał za nim, że coś zgubił; wtedy oglądał się, podnosił, chował szybko, rozpływał się w podziękowaniu, uwielbiał cnotę ostrzegającego, dawał mu nauki żeby tak postępował zawsze, ostrzegał go jednakże, że nie należy się chełpić z dobrego uczynku kiedy ten uczynek jest tylko dopełnieniem obowiązku.

Kiedy indziej przecież zdarzało się, że znalazca nie ostrzegał go o zgubie, lecz podnosił ją szybko i zawracał w przeciwną stronę, a wreszcie prawie nieomylnie skręcał do karczmy; wtedy Mrożek szedł dalej udając że nic nie widział, ale wkrótce zachodził także do karczmy, zastawał znalazcę przy kieliszku i szeptał mu na ucho:

— Wyjdź no ze mną na chwilę, mam ci coś powiedzieć:

Raczącemu się za znalezione pieniądze niemiło się robiło, ale słuchał.

Wyszedłszy Mrożek zaczynał rzecz z daleka. Opowiadał naprzykład jakąś historją, z której dopiero w końcu się pokazywało, że ten kto znalazł i przywłaszczył sobie cudze pieniądze może się dostać do więzienia.

Słuchaczowi włosy powstawały na głowie. Chciał się rzucać do nóg Mrożkowi wyznając swą winę, błagając przebaczenia i przyrzekając zwrot niewielkiej kwoty, którą już naruszył z woreczka.

(D. .c n.)

WDOWA.

„Wdowę ucisnąć, to więcej niż zbrodnia"
I już za życia w sercu śmiertelna pochodnia,
Wincenty Pol.

Słowa te zacnego poety, powinny być głęboko wyryte w sercu każdego człowieka; powinni o nich ci nadewsystko pamiętać, którzy za własnym interesem nie widzą częstokroć krzywdy bliźniego, u których najpierwszem z praw jest prawo mocniejszego.

Bo pomyślmy tylko co to jest wdowa. Wychodząc za mąż, wstąpiła zarazem w świat inny, i jak latorośl od macierzystego pnia, oddzieliła się na zawsze od swej rodziny. Związek małżeński wszczepił ją w inny pień, przeniósł na inną glebę, lecz zaledwie miała czas oswoić się ze swem nowem położeniem, gdy już obcy mieli się stać dla niej *swojemi*—oto śmierć towarzysza, który jedynym byłjej wsparciem, jedyną opieką, który dla niej zastępował ojca, matkę, braci, siostry— śmierć powiadamy, jedynego jej towaszysza

nagle czyni ją samotną, jedną na świecie. Wygasza już dla niej ognisko domowe, świat staje się niby wielką pustynią, ludzie odwracają od niej oczy, lub co gorsza jeszcze, nie wahają się słabej ucisnąć.

Jedyną jej ucieczką — jest świeża jeszcze mogiła, jedyną rozkoszą—wspomnienie błogich chwil przeszłości.

Jej muzyką żałosny jęk kościelnych dzwonów, a kolor czarny, jej suknią balową.

Znikł z twarzy uśmiech zalotny, cicha boleść na niej się rozlała; westchnieniami liczy minuty, łzami przebieg godzin oznacza; jeżeli się uśmiechnie to do pożądanej chwili połączenia się z tym, któremu dozgonną miłość przysięgła. O biada nierozsądnym co się z jej boleści urągają! stokroć większa biada, gdy tej boleści w jakikolwiek sposób nadużyją!

Wdowa matka, jest i szczęśliwszą i nieszczęśliwszą zarazem od wdowy bezdzietnej.

Szczęśliwszą—bo w dzieciach swych ma i zadatek miłości i uosobioną pamięć małżonka i nie wysłowioną pociechę, jakiej każda matka ze swych dzieci doznaje.

Nieszczęśliwszą —bo macierzyństwo wkłada na nią wielkie, nieskończone obowiązki, bo matka-wdowa winna być zarazem i ojcem dzieci swoich, bo nie tylko kochać i wychowywać, ale zarazem kształcić, uczyć i pracować na utrzymanie dzieci swych powinna.

Obowiązki zaiste przechodzące częstokroć siły słabej kobiety! obowiązki, którym nie każdy godnie odpowiedzieć potrafi!

Rzadko który mężczyzna wytrwałby na takiem stanowisku, a cóż dopiero istota, którą my sami przywykliśmy z pewnym rodzajem dumy nazywać *słabą*. A jednak zaniech ta *słaba* w czemkolwiek nie odpowie swemu zadaniu, niech się pośliźnie na śliskiej drodze żywota, jakież to krzyki na nią powstaną! jak każdy nieledwo poczytuje za powinność rzucić na nieszczęśliwą kamieniem potępienia!

Lecz nie potrzeba nawet okazać się jej słabą, aby doznać ze strony ludzi ucisku i prześladowania.

Jedni pod pozorem opieki nad dziećmi, czychają na fundusz sierocy i częstokroć najhaniebniejszych używają środków, by pozbawić nieszczęśliwą wdowę ostatniego chleba.

Inni, rozmaitemi sposobami wkradają się w jej zaufanie, korzystając ze słabości biednej wdowy, wyłudzają u niej znaczne nieraz pieniądze, których naturalnie prawa ich właścicielka nigdy oglądać nie będzie.

Są i tacy co nie dają jej pokoju ze swoją miłością, a gdy wdowa przez pamięć na nieboszczyka męża, przez przywiązanie do dzieci swoich, odmówi ręki natrętom — ci zamiast uznać całą szlachetność jej postępowania, z kochanków stają się nieubłaganymi wrogami i czernią nieszczęsną przed całym światem.

Lecz przedstawiając jednę stronę medalu, należy spojrzeć i na drugą.

Nie jeden zapewnie z czytelników naszych słuszny uczyni nam zarzut, że nie wszystkie wdowy zasługują na tak gorącą obronę, że nie wszystkie męczenniczki z nazwiska, są świętemi w rzeczywistości.

Prawda! bo jużciż i wdowy są ludźmi.

Błędy ich są wspólne z błędami mężatek, panien i wszystkich ludzi. Wdowy nie są od nich ani lepsze, ani gorsze, ale powiększej części nieszczęśliwe...

I dla tego to właśnie zasługują na nasze współczucie.

Cudze nieszczęście wkłada na nas obowiązek litości, a gdzie jest litość, tam winna być wyrozumiałość.

Dla tego to nie tylko winniśmy wdowom okazywać współczucie, ale zarazem wimię miłości bliźniego wiele im przebaczyć.

A zresztą, któż z nas ma prawo urągać łzom wdowy? Czy mężczyzna, którego najmilsza towarzyszka może wdową zostać? czy kobieta, która niewié jaki los jej samej Stwórca gotuje? Tak, własny interes każe nam szanować boleść wdowieństwa, własny interes każe nam je wspierać i bronić od złych ludzi.

Wié o tem świat cały, wiedzieli ojcowie ojców naszych, jak niejednostajnem kołem fortuna się toczy. Co dziś jest wysoko, jutro może spaść bardzo nisko. Prawdę tę każdy powinien mieć obecną w swoim umyśle, a nadewszystko ci co znajdują upodobanie w poniżeniu słabszych, co chętnie się ich kosztem bawią.

Ileż to było takich, co otoczeni szczęściem i dobrobytem, odepchnęli z dumą prośbę biednej wdowy nie pomni, że może niedaleką jest godzina, w której ich małżonki podobnegoż losu doznają. A małoż znowu spotykamy wdów dziś ubogich, opuszczonych, wzgardzonych nieledwie, które tak niedawno jeszcze jaśniały weselem i szczęściem? Szczęśliwe jeszcze, jeżeli nic nie mają sobie do wyrzucenia, jeżeli nadewszystko nie gryzie ich robak sumienia, że kiedyś taką monetą biednym wdowom płaciły, jaką teraz świat im samym wypłaca?

Lecz zastanawiając się pilniej nad stanem wdowim, pomimowoli zadajemy sobie pytanie:

Jakto, czyliż niema środka, by większość tych nieszczęsnych istot przynajmniej byt niezależny miała zapewniony?

Środek ten istnieje, ale by go użyć, potrzeba wiele przesądów obalić, wiele i bardzo wiele zwalić trudności.

Środek ten leży w nas samych lub raczej w rodzinach naszych.

Środkiem tym jest—wychowanie kobiety.

Dotąd kształcono kobietę na lalkę, na bawidełko, na mniej więcej znośny dodatek do posagu—powierzchownie; ale z gruntu niczego jej nie uczono.

Obecnie nadszedł czas, że kobietę potrzeba kształcić *na kobietę*,—na człowieka.

Nie chcemy aby była doktorem medycyny, prawnikiem, filozofem lub ciężko-uczonym pedantem—alež nie widzim dla czegoby nie miała się kształcić w jakim zawodzie specjalnym, któryby jej zapewniał niezależne i pewne utrzymanie. Tyle lżejszych rzemiósł stoi dla niej otworem, dla czegóżby się ich uczyć nie miała? Mogłaby przytem z korzyścią uprawiać niektóre lżejsze gałęzie wiedzy, a nawet choćby się *gruntownie* jednego tylko języka wyuczyła, to i tak miałaby w każdym życia wypadku zapewnione znośne utrzymanie.

Zaledwie potrzebujemy tu dodawać, że specjalność nie tylko wdowie, lecz i każdej kobiecie przydać się może. Nic już nie mówiąc o starych pannach, które przy pracy pozbyłyby się może nie jednego ze swych nałogów, jakże przydałaby się specjalność żony w wielu dzisiejszych małżeństwach, które nie zawsze dwoje rąk wyżywić może!

Lecz nim to nastąpi, zanim kobieta stanie się samodzielnym współpracownikiem mężczyzny, niech w uszach naszych bezustannie tętnią te wyrazy:

Biada krzywdzicielom wdów i sierot.

Mścisław Kamiński.

KORRESPONDENCJE
Od Redakcji
Opiekuna Domowego.



— *Panu Władysławowi z Zacisza.* Na podniesioną przez znajomą Panu osobę kwestję, o zabobonach i przesądach, najzupełniéj zgodzić się nie możemy. Zapytanie, „czy warto je wykorzeniać?“ zdaje się być odgłosem tych ludzi przestarzałej opinji, dla których wszystko co stare, nawet błędy i wady przodków są świętą spuścizną.

Najbezstronniej tę rzecz rozważając, musimy przyjść do przekonania, że zabobony nie tylko warto, ale koniecznie trzeba wykorzeniać. Wątpliwości nie ulega, że straciły już one pierwotną dzikość i przybrały charakter pozornie przynajmniej niewinny, wszakże nie dowierzajmy zbytecznie tej niewinności, bo pod nią kryją się nieraz zarody wielkich występków, zawsze zaś są one skutkiem lub przyczyną lekkomyślności, łatwowierności i braku zdrowego rozsądku, tych którzy im wiarę dają. Niema zabobonów niewinnych, tak jak niemasz głupstwa któreby sankcją przed trybunałem rozumu zyskało. Również błahym jest zarzut znajomej panu osoby, „że wykorzeniając przesądy, obdzieramy tém piersi naszego ludu z ostatnich szat odległej starożytności—tak poetycznej.“ Ciekawa zaprawdę rzecz co komu po tych znoszonych szatach? Że z nich najmniejsza korzyść nie wypływa, zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości; co do nas, wątpimy nawet, aby poezja potrzebowała czerpać natchnienie, w tak mętnem źródle. Przynajmniej zbyt wysokie o niej mamy wyobrażenie. Za obietnicę nadesłania zabobonów zebranych w Gub. Wileńskiej, najmocniej dziękujemy i czekamy jej dotrzymania. Czego nie zużytkujemy w Opiekunie, to się gdzieindziej przyda.

A teraz przystępujemy do rozwiązania drugiego pytania, a że odpowiedź nasza nie będzie stanowcza i zupełnie kwestją rozstrzygająca, wina to raczéj przedmiotu, który zapewnie do skończenia świata nierozwiązanym pozostanie. Powiadasz Pan, że w pewnem towarzystwie zawiązała się rozmowa o stanie małżeńskim, zkąd wypadło mówić o posłuszeństwie żony: jedna strona nie przyznawała żadnéj wyższości mężowi, a druga utrzymywała: że być inaczéj nie powinno, dowodziła: że dawniéj żona nazywała swego męża panem i jak to pięknie było! Słowem jedna strona była za zupełnem wyzwoleniem żony, z pod zwierzchnictwa męża, druga za bezwarunkowem jej posłuszeństwem. Która więc strona ma słuszność, a która błądzi? Nam się zdaje, że obie. W małżeństwie bowiem dobranem, w małżeństwie prawdziwie się kochającem, najwyższem prawem jest miłość. Ona reguluje wzajemne stosunki małżonków, i kto kocha prawdziwie, kto ma serce i patrzy w serce, ten nie władzy szuka w małżeństwie, nie przewag chwilowych, nie upokorzenia swej towarzyszki lub towarzysza, ale szczerej odpowiedzi na bicie swego serca. Co zaś do śmiesznego żądania, aby żona męża panem nazywała, zakrawa to na zaślepienie niektórych archeologów, którzy w dziurawych pantoflach Cezara, widzą cuda doskonałości.

— *Panu Kalikstowi B.* Chcielibyśmy odpowiedzieć na zapytanie, jakim sposobem oznacza się data wielkanocna na każdy rok, sposób jednak obrachowywania jej, nie zdaje nam się dość przystępnym, aby go w ramach naszego pisma podać było można. Najłatwiej, o ile wiemy obliczyć dzień wielkanocny, za pomocą dwóch liczb stałych, *większej* = 23 i *mniejszej* = 4, a to w ten sposób:

Liczbę wyrażającą rok np. 1867 dzieli się przez 19, niezważając na iloraz, lecz na resztę jaka wypadnie z dzielenia, to jest 5.

Te resztę 5 mnoży się przez 19, do tego dodaje się liczbę stałą większą 23, co wyniesie 118. Ten znów wypadek dzieli się przez 30, z czego wypada *reszta stanowcza pierwsza* 28.

Aby otrzymać *resztę stanowczą drugą* bierze się:

a) sześć razy wziętą *resztę stanowczą pierwszą* (6×28) . . . 168
b) cztery razy wziętą resztę z podzielenia 1867 przez 7 to jest 4×5 20
c) dwa razy wziętą resztę z podzielenia 1867 przez 7 to jest 2×3 6
d) liczbę stałą *mniejszą* 4
Summa tych wszystkich wyniesie 198

Tę summę dzieli się przez 7, z czego wypadnie *reszta stanowcza druga?*

Ponieważ summa obu reszt stanowczych 28+2=30, przeto Wielkanoc wypadnie w 30 dni po 22 Marca, to jest 21 Kwietnia.

Nadmienić tu wypada że liczby stałe 23 i 4 służą tylko dla lat 1800—1899; na następne 200 lat (1900—2099) liczby stałe będą 24 i 5.

Obliczając Wielkanoc według starego stylu, liczby stałe są na wszystkie lata jednakowe: większa 15 mniejsza 6.

Sposób ten, najprostszy z dotychczas znanych, wynalazł w r. 1800 Gauss, professor uniwersytetu w Getyndze. Myśmy tu tylko uprościli jego wysłowienia dla nieznających algiebry.

NOWOŚCI LITERACKIE.

W tych czasach opuściło prassę znakomite dzieło Oskara Kolberga pod tytułem: „*Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Serja III-cia. Kujawy, część I.*” Polecając najserdeczniej to ważne i piękne dzieło naszym czytelnikom, przytaczamy parę ludowych anegdotek, które w Kujawach kursują.

— Jeden cudzoziemiec objąwszy dobra z gospodarzami (pańszczyznianemi), wymagał po nich nadzwyczajnych i uciążliwych robót, ciesząc ich nadzieją przyszłości: *kiedy maciorka tłusta, to i prosięta utyją!*— Po kilku latach daremnego oczekiwania ulgi i ciągłych nowych wymagań, biedni i zniecierpliwieni włościanie zaskarżyli dziedzica do Sądu: o niedotrzymanie obietnic, z tem przedstawieniem, że *świnia się spasła, a prosiaki schudły.*

— Szlachcianka miała na sprzedanie wieprza czy świnię na jarmarku w miasteczku, a chłop nie mogąc z nią długo targu ubić, zawołał odchodząc i chowając kaletę (sakwę) do kieszeni: *No, kiej tak, to moje pieniądze a pani świnia.*

— Gdy raz targ był o posag narzeczonej (o krowy), a ona głośnych tych zwad była świadkiem, odzywa się więc rozgniewana z komory: *No, to ja niechcę!* A ojciec pana młodego na to: *Eh, cicho głupia! ona myśli, że to o nią!*

ROZMAITOŚCI.

— **Wynalazca maszyn do szycia.** Elijasz Howe umarł d. 3 Października r: b. w jednym z małych miast stanu Massasuchetts w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Był on z początku prostym robotnikiem, mechanikiem, i jak wszyscy niemal wynalazcy miał do walczenia z trudnościami prawie niezwyciężonemi. Pierwsza połowa jego życia była tylko długiem męczeństwem. Nieraz dochodził do zupełnej nędzy; niesumienna konkurencja wydzierała mu korzyści z wynalazku, będącego owocem trudów jego całego życia i zmuszała go zarabiać na utrzymanie własne pełnieniem obowiązków konduktora lokomotywy. W końcu nareszcie pokonał wszystkie trudności, wyrok sądowy przyznał mu pierwszeństwo i wyłączną własność jego wynalazku, i otrzymał przywilej wyłączności, który mu przyniósł około 2 miljonów dolarów (dolar ma 1 rsr. 35 kop). Fabrykanci maszyn do szycia płacili mu po 5 dolarów od każdej maszyny sprzedanej w Stanach Zjednoczonych i po dolarze od każdej wyprowadzanej za granicę.

Obliczają, że dzisiaj fabrykacje maszyn do szycia w Stanach Zjednoczonych dostarczają ich tysiąc sztuk dziennie. Według obliczeń jednego z ekonomistów amerykańskich, wartość przedmiotów uszytych na maszynach, w r. 1863 w Stanach Zjednoczonych wynosiła 342 miljony dolarów, a oszczędność zyskana przez zastąpienie pracy ręcznej, pracą maszynową 19 miljonów dolarów. Ta ostatnia cyfra nie wyda się bynajmniej przesadzoną jeśli zważymy, że w Ameryce wszystko się dziś szyje na maszynach, począwszy od odzieży i bielizny aż do kapeluszy i trzewików i gdy weźmiemy na uwagę, że dobra szwaczka robi na minutę 35 ściegów, a dobra maszyna robi ich 300. Jeżeli jak obliczono, do uszycia koszuli potrzeba 20,620 ściegów, łatwo pojąć jak wiele się zyskuje na zastósowaniu maszyn do szycia, których wynalazek jest jednym z najszczęśliwszych przewrotów ekonomicznych naszej epoki.

— **Moda** jest dziedziną kobiet, w której one wszechwładnie panują: nie ma więc nic dziwnego, że w tem państwie zmiany są nieustanne.

Kobiety lubią mody, jak mężczyzni broń —jest to narzędzie podboju; jego ważność znają one o tyle, że w późnym nawet wieku jeszcze go porzucić nie chcą.

Moda stanowi dla kobiet, we wszystkich klassach społeczeństwa, niewyczerpany przedmiot rozmowy w gruncie czczej zupełnie. Moda jednak budzi myślenie w tych kobietach, które myśléć nie umieją. Kobiety gdy idzie o modę, rozważają i myślą: nic natenczas nie ujdzie ich uwagi. Te, które są tutaj wyjątkiem, co są od dzieciństwa przywykłe do zajmowania się nauką lub sztuką i oddające się z zamiłowaniem swemu przedmiotowi; i te nawet, w pośród prac najpoważniejszych, jeszcze oglądają się, aby uchwycić

w przelocie modę panującą—jest to namiętność uśpiona, ale nie wygasła.

Mnogość mód jest powodem, że prędko przechodzą; a gdy przejdą, dziwimy się dla czego były tak upodobane: bo ileż one dziwacznych, śmiesznych kształtów przybierają na siebie! Ale wówczas, uważamy je bezwzględnie i zapominamy, że gdy były w użyciu, towarzyszył im powab osoby która je nosiła, która umiała się z niemi obejść— jest to już jakby sala balowa, odarta ze swych draperji, ze swoich girland.

Jeżeli moda tyle ma władzy nad kobietami i tak miłemi

Francuzi w modach celują, oni je wymyślają; inne narody, mają tylko kłopot naśladownictwu towarzyszący. Blanqui uważa, że ta epidemja, to wściekłe szaleństwo, z dniem każdym powiększa się jeszcze; obliczył on, że corocznie w Paryżu wyrabiają czepków i kapeluszy za 5 miljonów franków, gorsetów za 1 miljon, kwiatów sztucznych za 2 miljony, wachlarzy za 1 miljon. Lecz ponieważ to obliczenie robił przed dwudziestu laty, a moda jak sam przyznaje, wzrasta w swej potędze i niepomiarkowanie się rozpowszechnia, zatem śmiało można na czas obecny, jeszcze o drugie tyle summy te powiększyć.



Wdowa (kopja, z obrazu Jalibert'a).

obdarza je tryumfy, to z drugiej strony przyznać należy, że na okrutne próby je wystawia. Nie jedna pokusom oprzeć się nie mogąc, nierozważnych dopuszcza się kroków dla pozyskania jedynie nowego stroju, tego przedmiotu najgorętszych swych życzeń. Trudno jest zresztą wyobrazić sobie, ile kobieta jest w stanie uczynić poświęceń, aby tylko mogła iść za modą; pod tym względem dochodzi czasem do bohaterstwa pozbawiając się rzeczy, które zdają się najnieodzowniejszemi.

Ciekawa byłaby historja mody, którąby w swym wykładzie wtajemniczyła nas w przyczyny licznych zmian, jakim one ulegają. Bo gdzież szukać źródła tego przemijającego gustu, tej fantazji coraz nowej?...

Świątynie mody w najpierwszych stolicach, odznaczają się blaskiem i wykwintem, a swoich ajentów wysyłają na wszystkie strony świata: mają swoje filje w Buenos-Aires, w Valparaiso, na Syberji, w Kalifornji, i w Kalkucie.

Mirjady zaś tych zwinnych robotnic, które wykonywają przedmioty mody, stanowią ludność wyłączną—ludność która ma swoje pojęcia, język, styl, swoje rozrywki i zmartwienia, swoje szczyty i przepaści, swoje zwyczaje i—o mało żeśmy nie rzekli: swoje obyczaje. Ale nie tu miejsce opowiadać o nich....

Do tego Nru *Opiekuna Domowego*, na prowincję dołącza się wiadomość o zniżonych cenach książek, wydanych nakładem księgarza S. H. Merzbacha w Warszawie.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, ADAM MIECZYŃSKI.